

Zamiast wstępu

Lepiej zapalić świecę, niż przeklinać ciemność.

Matka Teresa z Kalkuty

Odkąd po raz pierwszy usłyszałem o Camino de Santiago, zawsze chciałem przebyć ten pielgrzymi szlak do stolicy hiszpańskiej Galicji Santiago de Compostela. Jednak jako uczestnik wielu maratonów i wypraw wysokogórskich, biegający kilka razy w tygodniu po dziesięć i więcej kilometrów, w ogóle nie brałem pod uwagę pielgrzymowania w taki sposób, jak czynią to tysiące zwykłych ludzi. Zastanawiałem się więc nad przebiegnięciem trasy w możliwie najkrótszym czasie albo przejechaniu jej rowerem. Ale ostatecznie, w kilka tygodni po szczęśliwym powrocie z wyprawy na Antarktydę, gdzie wszedłem na Mt. Vinson, najwyższy szczyt tego kontynentu, zdecydowałem się przejść Camino samotnie z plecakiem, czyli tak jak idą prawie wszyscy zdążający do grobu św. Jakuba.

Historia wędrówek wiernych do katedry w Santiago de Compostela sięga IX wieku. W średniowieczu Europę spowija pajęczyna wiodących tam pielgrzymich dróg, spośród których Camino Francés (Droga Francuska) stała się najbardziej uczęszczanym szlakiem zachodniej cywilizacji. Liczy około 780 kilometrów i uważana jest za najważniejszą w tradycji pielgrzymowania do grobu św. Jakuba. Zaczyna się w malowniczym Saint-Jean-Pied-de-Port, we francuskiej prowincji zamieszkałej przez Basków, biegnie równoległe do wybrzeża Oceanu Atlantyckiego, przez Pireneje Atlantyckie,

potem dolinami rzek Erro i Arga do Pampeluny, przez winiarski region Rioja, Mesetę hiszpańską w Kastylii do dawnej stolicy Hiszpanii – Burgos, dalej do León, góorskimi ścieżkami do celtyckiego O’Cebreiro, a następnie schodzi na wyżyny Galicji, by dotrzeć w końcu do Santiago de Compostela. Obecnie, po długim okresie całkowitego zapomnienia, Drogą Świętego Jakuba wędruje w ciągu roku ponad 100 tysięcy ludzi (rok 2010 był pod tym względem rekordowy – zarejestrowano 271 tysięcy pielgrzymów). Camino de Santiago jako pierwsza otrzymała tytuł Europejskiego Szlaku Kulturowego, przyznawany przez Radę Europy w uznaniu dla wkładu w kształtowanie europejskiej cywilizacji, a w 1993 roku zyskała status Światowego Dziedzictwa Kultury UNESCO.

Wyruszając w drogę 13 marca 2011 roku z Saint-Jean-Pied-de-Port byłem optymistą. Sądziłem, że pokonam szlak z łatwością, przemierzając 40–60 kilometrów dziennie, i będę miał dużo czasu na medytacje oraz rozmowy ze spotkanymi ludźmi. Jednak już pierwszego dnia otrzymałem ostrzeżenie, że może być całkiem inaczej, niż to sobie wyobrażałem – dotarłem co prawda górkim szlakiem do oddalonego o 26 kilometrów Roncesvalles, pokonując jeden z najtrudniejszych odcinków trasy w ciągu ośmiu godzin, ale przenikliwy ból obtartych stóp odbierał mi ochotę do dalszej wędrówki. W ciągu następnych dni sytuacja się pogorszyła, otarć przybywało i kolejne odcinki pokonywałem mozolnie, patrząc, jak mijają mnie nie tylko studenci, ale także gospodynie domowe, panowie i panie w wieku emerytalnym, urzędnicy, którzy dopiero co wstali zza biurka, a na koniec zostałem pograżony przez 130-kilogramowego grubasa, który wyprzedził mnie niczym pociąg ekspresowy, pozdrawiając wesołym, lekko zasapanym głosem – „Buen Camino!”. Nie zwracałem uwagi na krajobrazy i ludzi, szedłem jak robot, uporczywie odrzucając myśl, żeby zaniechać pielgrzymki i podjąć ją na nowo za jakiś czas. Wiedziałem jednak, że podobnie jak na trasie maratonu po 37 kilometrze, czy na ostatnim podejściu na szczyt, to siła woli decyduje o końcowym sukcesie i zwycięstwo zależy od tego, co jest w głowie, a nie w nogach.

Moja fizyczna udręka trwała 10 dni, aż do momentu, kiedy rany na stopach się zabiłiły. Gdyby nie życzliwość spotykanych ludzi, wieczorne rozmowy, wsparcie duchowe i wszechobecny uśmiech, z całą pewnością poddałbym się. I wówczas dotarło do mnie, że być może tak właśnie miało się

stać – otrzymałem lekcję pokory i coś znacznie więcej, bo uświadomiłem sobie jasno, że uratowali mnie ludzie, którym normalnie to ja powinienem służyć pomocą, wzięwszy pod uwagę moje doświadczenie i przygotowanie fizyczne. Wtedy zobaczyłem towarzyszy tej niecodziennej drogi, zwykłych przecież ludzi, w zupełnie innym świetle. Dostrzegłem, że w istocie nie są zwykli – są wyjątkowi. Trzy gospodynie domowe, gruby perkusista z zespołu flamenco, student śpiący w bejsbolówce, sterany życiem lekarz z Korei, młoda dziewczyna z Singapuru, która zastanawia się czy studiować medycynę, czy weterynarię, Holenderka w trzecim miesiącu ciąży... Wszyscy pokonywali trasę z uśmiechem na ustach i pogodą ducha, podczas gdy ja szedłem z grymasem na twarzy, a ostry ból poranionych stóp przenikał mój mózg, nie pozwalając skupić się na niczym innym prócz cierpienia.

Wielokrotnie zadawałem sobie pytania: Co daje tym ludziom tyle siły duchowej i fizycznej, że mogą dorównać mędrcom i maratończykom? Skąd biorą władczy spokój i optymizm, który nieomal góry przenosi? Co powoduje, że czuję się onieśmielony ich gotowością do pomocy, otwartością na świat i na innych, która czyni każdą rozmowę ciekawą i pouczającą? Odpowiedź była prosta i za każdym razem podobna: dobroć, przyjaźń, życzliwość, miłość, empatia, gotowość do świadczenia bezinteresownej pomocy, solidarność, szacunek, radość – te wartości były niewidzialną osnową ich postawy, odczuwania i wszystkich zachowań. To one sprawiały, że czułem się z tymi ludźmi dobrze, bezpiecznie i radośnie, jakbym ich znał od dawien dawna. Poza mną został świat, gdzie niepewność i chaos wyznaczają rytm dnia, na skutek bezpardonowej konkurencji przeradzającej się w permanentny wyścig szczurów ludzie stale muszą mieć się na baczności, strach przeradza się w ciągły stres paraliżujący umysł i ciało, wszystko jest na sprzedaż i wszystko można kupić, a cel uświęca środki. Tu spotkałem się ze światem, którym nie kieruje żądza władzy i pieniądza, bezwzględność, egoizm, zazdrość i zawiść. Jego bohaterami są ludzie, których wyjątkowość wynika nie z tego, że są piękni, młodzi, silni i bogaci, wręcz przeciwnie – nie odznaczają się żadnym z tych atrybutów herosów kultury masowej. Są wyjątkowi, ponieważ potrafią okazać bezinteresowną pomoc, życzliwość, uśmiech, gotowość wysłuchania innych i poświęcenia im chwili uwagi.

Te proste wartości, przejawiające się w codziennym postępowaniu, czynią ze zwykłych ludzi wyjątkowe istoty. „Zwykli ludzie mogą stać się wy-

jątkowymi, zdolni są czynić cuda, jeśli kierują się kilkoma podstawowymi wartościami” – to zdanie stało się mottem każdego dnia, jaki spędzałem na Camino, potwierdzanym tysiącokrotnie w praktyce. W zasadzie frazes, banalna prawda – każdy przyzna jej rację w teoretycznych rozważaniach. Ale tylko na tym abstrakcyjnym poziomie, bo teoretyczne deklaracje i życiową praktykę dzieli bardzo długa droga. A ja na Camino spotkałem właśnie praktykę w swojej najpiękniejszej postaci.

Kiedy już wyzdrowiałem i mogłem delektować się samotnością na szlaku oraz wieczornymi rozmowami w schroniskach, ta myśl, pogłębiona prowadzonymi w ciągu długich godzin wędrówki szlakiem Jakubowym rozważaniami o wartościach w życiu osobistym i zawodowym, nie opuszczała mnie aż do końca pielgrzymki do Santiago de Compostela. Wracałem z powrotem do domu z głębokim przekonaniem, które wkrótce przerodziło się w imperatyw kategoryczny, że muszę się podzielić tymi rozważaniami z innymi. Oczywisty związek pomiędzy pozytywnymi wartościami w życiu i w biznesie miał dla mnie w przeszłości rzeczywisty, głęboko praktyczny wymiar. Niespodziewanie uświadomiłem sobie, że moje osobiste doświadczenia biznesowe w zakresie wydobycia wartości na pierwszy plan działalności firmy i postrzegania ich jako fundamentu relacji pracowniczych, a także praktyki zarządzania przez wartości, są wyjątkowe, bo rzadko spotykane, więc ciąży na mnie obowiązek dania świadectwa dla szerszego kręgu zainteresowanych. We współczesnym świecie, który się szybko i gwałtownie zmienia, teza, że zysk nie jest jedynym, a nawet nie najważniejszym, celem działania w biznesie powoli przebija się do świadomości społecznej. Następuje to pod wpływem bolesnych doświadczeń oraz obserwacji efektów działalności firm i menedżerów napędzanych chciwością i bezwzględnym dążeniem do maksymalizacji zysku za wszelką cenę. Jestem głęboko przekonany, że przestrzeganie wartości jest tak samo ważne dla ludzi, jak i przedsiębiorstw – ludziom pozwala żyć godnie i umrzeć z poczuciem spełnienia, a i przedsiębiorstwom przynosi swoistą nieśmiertelność. To dzięki spójnemu systemowi wartości jesteśmy w stanie pokonywać dzień po dniu, a także zbudować szczęście w życiu osobistym oraz osiągnąć sukces i satysfakcję w życiu zawodowym. Uznane przez nas wartości określają, jakimi jesteśmy ludźmi, jakie są nasze życiowe wybory i w jaki sposób postrzegamy innych. Dla przedsiębiorstw stanowią pomost, po którym przechodzą talenty. Pozwalają im rosnąć i re-

alizować satysfakcjonujące zyski w zgodzie z otoczeniem, preferencjami pracowników i oczekiwaniami interesariuszy oraz właścicieli. To właśnie zwykli-wyjątkowi ludzie, kierujący się wartościami, tworzą wspaniałe przedsiębiorstwa.

I w taki oto sposób, realizując przesłanie wyrażone kiedyś przez Mahatmę Gandhiego: „Bądź zmianą, którą pragniesz ujrzeć w świecie”, napisałem książkę, której nigdy nie miałem w planach.